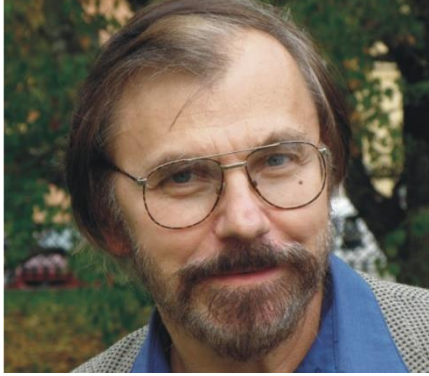


Listy do Pani A. (176)



Fot. Andrzej Dębkowski

Od przygódki do wygodki

Droga Pani!

Pisałem Pani poprzednio, że czytałem „wywiad-trzęsawisko” z Markiem Wawrzkiwiczem oraz jego szkice o poezji. I teraz nastąpił jakby ciąg dalszy literackich przygód. Oto dostałem od Ani „Dom pod wiecznym piórem” Jana Polewki, scenografa, reżysera, byłego dyrektora Teatru Groteska, syna głośnego niegdyś pisarza Adama. Przedstawia on niezmiernie ciekawe i burzliwe dzieje krakowskiej kamienicy zamieszkałej przez literatów, a mieszczącej się pod słynnym adresem Krupnicza 22. Wielu pisarzy różnych generacji było lokatorami tego domu będącego od 1945 roku swoistym azylem dla wielu pisarzy układających sobie życie po zawierusze wojennej.

Sporo tu anegdot, epizodów z życia oryginalnych lokatorów, opisów ich perypetii, niekiedy tragikomicznych przygód. Okazało się, że tak duże zbiorowisko oryginałów i często wykluczających się osobowości potrafiło zupełnie zgodnie koegzystować w jednym domu, w tych samych kłatkach schodowych, tym samym podwórku. Oto m.in. Stefan Kisielewski, Adam Polewka, Jerzy Andrzejewski, K. I. Gałczyński, Leon Kruczkowski, Jan Bolesław Ożóg, Stefan Otwinowski; z dużo młodszych, jak choćby Bronisław Maj, Krzysztof Lisowski czy Roman Wysogład – przywołani przez Polewkę na kartach jego książki – wszyscy oni byli, delikatnie mówiąc, zróżnicowanymi charakterami. Tymczasem panowała tam – jak często podkreśla Polewka – pomimo wyrazistych kontrastów, sąsiedzka, ponadpokoleniowa harmonia, oczywiście niepozabawiona niekiedy „literackiej” złośliwości, uszczypliwości, wzajemnej ironii, czasami szyderstwa. Ale było to utrzymane na ogół w dobrym tonie. Żałuję, że nie przewinąłem się przez Krupniczą 22. Ale dziś mógłbym pisać do Pani listy z zaświatów. Nie wiadomo, co byłoby ciekawsze...

Kilka osób zdążyłem poznać w późniejszym czasie i w innych miejscach. Z Janiną Brzostowską i Tadeuszem Peiperem pijaliśmy kawę w warszawskich kawiarniach; z Micha-

łem Rusinkiem jeździłem na spotkania Klubu „Krań” organizowane w latach siedemdziesiątych ubiegłego (och, jak to brzmi!) wieku przez Zygmunta Lichniaka, często spotykałem Kirę Gałczyńską (niestety zmarła niedawno), a Krzysztofa Lisowskiego, znakomitego poetę i krytyka poznałem na Poznańskich Listopadach Poetyckich. Z Krzysztofem jesteśmy w kontakcie do dziś. Wdzięczny mu jestem za życzliwe recenzje moich tomików, które zamieszczał m. in. w „Nowych Książkach”.

Z przykrością obserwuję oddalanie się ode mnie tamtych czasów, jakbym oglądał je w odwróconej lornetce. Coraz mniej łączników pomiędzy mną a przeszłością. Kiedy to minęło?

Ze wzruszeniem przeczytałem tekst wspomnieniowy o Staszku Nyczaju pióra jego małżonki Ireny. Wspomniała tam, że pierwszego kwietnia minie rok od jego odejścia. „Nie do wiary” – powiedziałem głośno, a wtedy Ania mi uświadomiła, że w tym roku na początku maja będzie także pierwsza rocznica śmierci Aleksandra Nawrockiego, a trzeciego czerwca Leszka Żulińskiego. Gdzie ten czas tak szybko się podział?

To pytanie powracało do mnie podczas lektury opowieści o Związku Literatów Polskich w PRL-u „Akwarium” pióra Tomasza Potkaja. Wiele tu dosyć smutnych faktów z codziennego życia, trochę polityki, ale też sporo wesołych, często złośliwych, bardzo dowcipnych, środowiskowych anegdot. Trudno by było inaczej, skoro spotykają się ze sobą takie wewnętrznie niezależne osobowości, takie jak choćby Stefan Kisielewski, Sławomir Mrożek czy Maciej Słomczyński.

Przeczytałem tę książkę jednym tchem. Polecam ją Pani. Te czasy, jeszcze stosunkowo nie tak odległe, powoli odchodzą w sferę wspomnień. Potkaj znalazł proporcje pomiędzy sytuacją społeczno-polityczną oraz obyczajową. Wiele osób znałem, o innych czytałem w różnych wspomnieniach. A więc miałem swoistą ucztę duchową, przenosiłem się w czasy tuż powojenne, jak również późniejsze, które już pamiętam z autopsji, a pewne wydarzenia rozgrywały się tuż obok mnie. Tymczasem pandemia pozbawiła nas bardziej aktywnego uczestnictwa. Mam nadzieję, że wkrótce to minie. A więc jeszcze przez jakiś czas trzeba żyć wspomnieniami i wyobraźnią. Pozostają lektury przenoszące mnie w inny świat. Np. „Warszawa literacka w okresie międzywojennym” Piotra Łopuszańskiego. Przeczytałem jednym tchem. Zdaję sobie sprawę, że to pewnego rodzaju ucieczka od rzeczywistości. Bronię się jednak przed tym, aby dzisiejszego, realnego dnia nie tracić z pola widzenia. Muszę się Pani przyznać, że w pewnym momencie ma się zupełnie dosyć współczesności. Jednak trzeba się przed tym bronić, aby się wewnętrznie nie obezwładnić.

Na powierzchni jawi trzyma mnie kontakt z Bohdanem Wrocławskim. Nie rozmawiamy zbyt często, ale już sama świadomość, że każdej chwili mogę do niego zadzwonić już działa krzepiąco. Ostatnio Bohdan przysłał nam księgę monumentalną – czyli swoje „Wiersze wybrane”. Tom liczy trzysta dwadzieścia dwie strony, zawiera wiersze z tzw.

„całokształtu”. W dedykacji napisał: *Annie Musz, Stefanowi Jurkowskiemu z przyjaźnią zawsze Im oddany Bohdan Wrocławski*. Świetny tom! Bardzo zróżnicowany tak formalnie jak i tematycznie. Bohdan jest znakomitym, doświadczonym poetą, człowiekiem obdarzonym nietuzinkowym poczuciem humoru. Czasami prywatnie przybiera ton mentorski, ale to także można odebrać w pewnym cudzysłowie. Czyni to raczej dla humorystycznego efektu niż poważnego opieprzania. Świetnie prowadzi portal „Pisarze”, w którym od lat współpracuję. Raz intensywniej, raz rzadziej, a dwa razy w miesiącu redaguję tam „Wiersze Tygodnia”. Już sama świadomość jego przyjaźni działa na nas budująco.

Zima się przechyła ku wiosnie, a więc „podymiot” liryczny jeszcze się w pełni nie obudził. Piszę trochę, nawet myślę o wybraniu tekstów do nowego tomu, co jest dzisiaj w pewnej mierze „masturlibacją” z zastrzeżeniem, że pić chwilowo nie mogę. Ale za to wspomnienia są upajające.

Jeżdżę natomiast samochodem i cieszę się, że nie ma wielkich śniegów. Ostatnio chciałem sprawdzić poziom oleju. Podniosłem maskę, ale z lenistwa nie użyłem podpórki. Kiedy wsadziłem pod maskę łeb okazało się, że stoję w takiej pozycji, że z trudnością podtrzymuję pokrywę ręką. Opuściłem ją sobie na plecy. Okazało się, że teraz nie mogę z kolei klapy podnieść. Wyglądałem jak mysz w pułapce. Ktoś przechodził, więc poprosiłem, aby pomógł mi się uwolnić. Potem śmialiśmy się serdecznie z mojej przygódki. Na szczęście uwolniłem się w porę, by wrócić do domu i mieć szczęśliwy „zeszczyt” odwiedzenia wygodki...

Pisałem Pani, że z powodu pandemii a także wielkiej ostrożności Ani od trzech lat nie uczestniczę osobiście w imprezach literackich. A Pani także się izoluje? Tak czy inaczej podobno jeszcze tego nie można zbytino odpuszczać. Tymczasem Maria Magdalena Pogaj przysłała mi z Poznania almanach zawierający wiersze poetów związanych z 45. Międzynarodowym Listopadem Poetyckim. Wśród kilkudziesięciu wierszy znalazł się również mój utwór. Choć w ten sposób mogę dać świadectwo, że jeszcze żyję i piszę. Zadaję sobie coraz częściej pytanie, po co to wszystko? Kiedy czytam najrozmaitsze biografie, dzieje pisarzy i środowisk, widzę gołym okiem, jak wszystko zamienia się w nic, odchodzi w zapomnienie. Wiele znakomych nazwisk, wybitnych i znanych niegdyś pisarzy, nic nie mówią większości dzisiejszych, zwłaszcza młodych, czytelników.

Znowu zaczynam wpadać w ton pesymistyczny. Może rzeczywiście znowu niepotrzebnie. Cieszymy się raczej dłuższymi dniami, rosnącą temperaturą, coraz żywszym słońcem.

Pozdrawiam Panią z nadzieją wiosenną –

Stefan Jurkowski

